

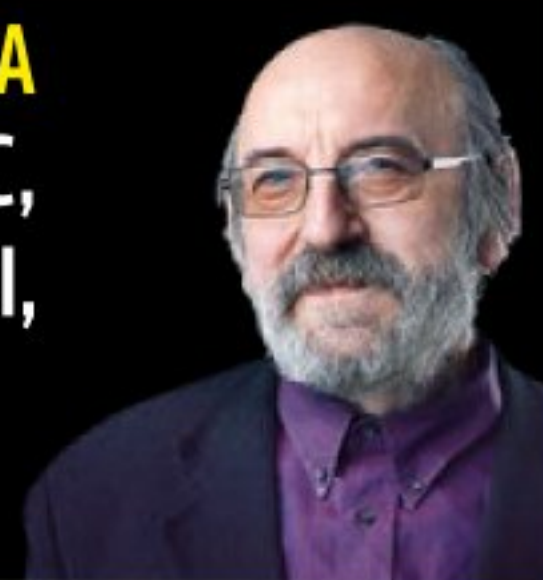
ROZMOWA „DO RZECZY”

Mentzen o zadyszce Konfederacji
i powyborczych scenariuszach



Rozprawa Ziemkiewicza
z mecenasem Giertychem

ALFABET KRZYSZTOFA
MASŁONIA: GIEDROYC,
HERLING-GRUDZIŃSKI,
HELAK, KONWICKI,
MIŁOSZ I INNI



Jak duże poparcie ma dziś
na Ukrainie prezydent Zełenski

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 37/544 11-17 WRZEŚNIA 2023
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

XXXX

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288 829
3 7 >
9 772299 850000
Nakład: 52 000 egzemplarzy

Marszałek Edward Śmigły-Rydz

ODROBIONA LEKCJA HISTORII?

Czego uczy nas Wrzesień '39



Krzysztof Masłoń

Kilka lat temu w pierwszych dwóch częściach „Alfabetu” na łamach „Do Rzeczy” pisałem o: Jarosławie Abramowie-Newerlym, Tomaszu Burku, Grzegorzu Ciechowskim, Stanisławie Grochowiaku, Jacku Kaczmarskim, Krzysztofie Karasku, Januszu Krasińskim, Zygmuncie Kubiaku, Krzysztofie Mętraku, Tadeuszu Mocarskim, Jerzym Narbucie, Czesławie Niemenie, Andrzej Nowaku, Marku Nowakowskim, Edwardzie Redlińskim, Jarosławie Marku Rymkiewiczu i Piotrze Skórzyńskim. Dziś część trzecia, a za tydzień następna



FOT. RAFAŁ CULZ/PAP

RYSZARD BUGAJSKI Z twórcą filmów „Przesłuchanie” i „Generał Nil” miałem okazję pogwarzyć sobie na tematy wciąż, mimo upływu dziesięcioleci, uchodzące za wyjątkowo drażliwe.

„– W Toronto, na emigracji – opowiadał – zaprzyjaźniłem się z pewną kobietą, Polką z pochodzenia. Nasze dzieci chodziły do jednego dentysty, stąd też znajomość. Poszliśmy do niej kiedyś na kolację, poznaliśmy jej męża – brooklyńskiego Żyda, komputerowca, profesora na uniwersytecie, matematyka. Ona też uczyła matematyki. W jej opowieściach często pojawiała się postać ojca, który coś tam załatwiał, coś przywoził z Moskwy. W końcu odważyłem się zapytać: »Jakie ty masz panieńskie nazwisko?«. A ona:

»Radkiewicz«. Z kolei pewien mój kolega był narzeczonym córki Różańskiego, więc chcąc nie chcąc, poznawałem takich ludzi. Jedni z nich stawali się dysydentami, inni pozostawali dziećmi swoich rodziców, partyjnych i państwowych aparatchyków. Kiedyś przyjaźniłem się z Marcelem Łozińskim, znanym dokumentalistą, którego ojciec pod nazwiskiem Roman Kornecki był w najgorszym okresie dziennikarzem »Trybuny Ludu«. Poznałem go pod koniec jego życia i wiele mi o sobie opowiedział.

– Kornecki to też był jego pseudonim?

– Oni używali piętrowych pseudonimów. Ojciec Marcela miał zupełnie inne nazwisko, oczywiście żydowskie. Marcel urodził się we Francji, gdzie jego matka przyjęła nazwisko Łozińska, no, dość to skomplikowane. To ojciec Marcela opowiedział mi historię Noela Fielda, ofiary stalinowskiej prowokacji, aresztowanego jako szpieg amerykański. Okazało się, że Field uratował mu życie, co potem wykorzystałem w swojej książce »Przyznaję się do winy«. Ale pytałem również swego rozmówcę: »Dlaczego pan stanął po tamtej stronie? Dlaczego pan – intelektualista, znający języki, nie przyjmował do wiadomości istnienia Gułagu, mordowania ludzi, nie chciał widzieć tego, że komunizm to zbrodnia?«. On mi opowiedział wówczas swoje życie, z jakiego środowiska się wywodził, jaką drogę przeszedł, dlaczego w coś wierzył, a w coś nie wierzył, bardzo wiele spraw mi rozjaśnił. A to, co mnie najbardziej interesuje, to ten mechanizm, który powoduje, że człowiek staje po stronie zła. Ojciec Marcela, gdy ze mną rozmawiał, od dawna już był po stronie właściwej, odciął się od fatalnej przeszłości, o której opowiadał mi trochę w formie ekspiacji, bo wstydził się tego, co robił, a wypisywał, na przykład, straszliwe bzdury o stalinowskich procesach w Czechosłowacji. Niewątpliwie czuł się winny i to było dla mnie ciekawe, bo oczywiście typy gorliwie wykonujące służbowe polecenia czy psychopaci jak Józef Różański interesują mnie mniej, choć z drugiej strony, z tego, co wiem, był to wybitnie inteligentny człowiek.

– Sporo na ten temat mogli powiedzieć nasi literaci, z Jerzym Andrzejewskim na czele.

– Różański był przecież przedwojennym adwokatem, bliskim krewnym Jerzego Borejszy, człowiekiem pewnie poruszającym się wśród inteligencji.

– Aresztowany w 1954 r., skazany został na 14 lat więzienia, ale wyszedł z amnestii w 1964 r. i podobno dożył spokojnie swoich dni. Zmarł w połowie lat 80., pochowano go na Cmentarzu Żydowskim na Okopowej w Warszawie.

– Ten spokój mógł być względny. Gdy Stanisław Raczekiewicz przyjechał do swojej córki do Toronto w 1983 r., to przed jej domem odbywały się

demonstracje, na które z transparentami »Precz z mordercą« przychodziło po tysiąc osób, a policja kazała mu wyjechać z Kanady, stwierdzając, że jego obecność zakłóca porządek publiczny i jest niewskazana».

W Polsce, podejrzewam, finał wyglądałby zupełnie inaczej, a demonstranci – ilu by ich było – oskarżeni zostaliby o szerzenie antysemityzmu.



FOT. JERZY RUCIŃSKI/PAP

JERZY GIEDROYC W grudniu 1999 r., będąc kilka dni w Paryżu, chciałem przeprowadzić wywiad z Jerzym Giedroyciem. Poprosiłem go o rozmowę podczas obowiązkowej pielgrzymki do Maisons-Laffitte, ale że gości z kraju było tego dnia w siedzibie „Kultury” mnóstwo, redaktor orzekł, że, owszem, porozmawia ze mną chętnie, tyle że następnego dnia, a okazja po temu była, gdyż bodaj w ambasadzie

Alfabet

polskiej odbyć się miała jakaś feta, na którą się wybierał. Tak się też stało, okoliczności wywiadu były jednak wyjątkowe. Mianowicie siedzący na fotelu Giedroyc wypatrzył mnie w tłumie gości, zachęcająco skinął, a ja zacząłem się rozglądać za krzesłem, bym mógł obok niego usiąść. Nie znalazłem. Stałem więc nad Jerzym Giedroyciem jak kat nad dobrą duszą, podtykałem mu dyktafon, nogi mi cierpły, ręce się trzęsły i w końcu zdesperowany przyjąłem pozycję w gruncie rzeczy w tej sytuacji naturalną – w końcu byłem petentem – i ukląknę. Był to jedyny wywiad, jaki zrobiłem, dosłownie, na klęczkach i nigdy tego nie ukrywałem. W końcu to nie to samo, co uprawiać podobną gimnastykę przed Donaldem Tuskiem czy – co ja gadam, co ja gadam – Jarosławem Kaczyńskim.

Z tamtego wywiadu opublikowanego w noworocznym numerze „Rzeczpospolitej” za najważniejsze uważam następujące zdanie rzucone przez Giedroycia w trakcie referowania przez niego – w skróty, ma się rozumieć, sposób – zasad, którymi powinniśmy się kierować w naszej polityce wschodniej. Musimy pamiętać – mówił – że „Rosja zawsze pozostanie wielkim krajem, ale bez Ukrainy nie może prowadzić polityki imperialnej”. Zrozumiał to, jak widać, Putin, wyciągając z tego najdalej idące wnioski. Niestety, nie te, które przyświecały panom Giedroyciowi, Mieroszewskiemu i innym zwolennikom czegoś, co opatrujemy trzema literami: ULB [Ukraina-Litwa-Białoruś – przyp. K.M.].

Krytycznie wyrażał się też redaktor o Solidarności, jego zdaniem, kompletnie nieprzygotowanej do przejęcia i sprawowania władzy. „Zależało im – mówił – jedynie na poszerzeniu swojego obszaru działania. Absolutnie nie myślano o niepodległości Polski. Namawiałem wtedy rozmaitych opozycjonistów, z którymi byłem w kontakcie, by opracowali – korzystając z pomocy niezależnych naukowców – jakieś plany, prognozy. Podawałem przykład traktatu wersalskiego, kiedy

czystszy językiem litewskim powie: »Musiałem udawać, że nie rozumiem po litewsku, bo Polacy by mnie zjedli«”.

Tak się nie stało, a nie minęło wiele czasu, bo niecały rok, a Jerzego Giedroycia nie było już ani wśród nas, ani z nami. Zmarł 14 września 2000 r. Został pochowany na cmentarzu w Le Mesnil-le-Roi.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI/DO RZECZY

WIESŁAW HELAK Matka wpoila mu trzy zasady: 1. Nigdy nie ufaj komunistom; 2. Wrogowi ręki nie podawaj. Nigdy; 3. Będzie się do ciebie uśmiechał, będzie obiecywał wiele i dawał prezenty, ale ty pamiętaj tylko jedno, że to jest twój wróg śmiertelny.

Jego proza, ostentacyjnie niedzielska, jest niesłychanie plastyczna; zachwyca uwrażliwieniem na pejzaż, na muzykę czy – szerzej – na dzieła sztuki

swoje ocalenie zawdzięcza Bogu. Nie żadnemu Związkowi Patriotów Polskich, ale Bogu.

Skoro „Warunek” Eustachego Ryłskiego uznałem za arcydzieło, to „Nad Zbruczem” – pisałem – powieść już samym tytułem nasuwająca oczywiste skojarzenia z „Nad Niemnem”, powinienem nazwać arcydziełem do kwadratu. To powieść arcykrytyczna, cała osadzona w naszej przeszłości, a przecież przemawiająca do nas, tych z XXI w., tych dzisiejszych.

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

To, że szczęśliwego finału doczekała się 15-tomowa krytyczna edycja „Dzieł zebranych” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, jest zasługą wielu osób, ale przede wszystkim kierującego pracami redakcyjnymi prof. Włodzimierza Boleckiego, przyjaciela pisarza i niezrównanego znawcy jego twórczości. Twórczości więźnia sowieckiego łagru i żołnierza walczącego pod Monte Cassino. Jednak zmarły w 2000 r. Herling był nie tylko świadkiem XX-wiecznej historii, z czego zdawał sprawę w swoich utworach, lecz także – co akcentuje Włodzimierz Bolecki – „nieustannie stawiał pytania metafizyczne, egzystencjalne, pytał o istotę chrześcijaństwa, o teologiczną relację chrześcijaństwa i judaizmu, o stosunek

Krzysztofa Mastłonia

to byliśmy znakomicie przygotowani do obrad, mieliśmy wypracowane stanowisko nawet w drobiazgach. Dlaczego nie można było stworzyć perspektywy, jak będą wyglądały stosunki polsko-ukraińskie, polsko-rosyjskie, polsko-niemieckie? W odpowiedzi usłyszałem: »Proszę pana, my nie będziemy się zajmowali księżycowymi zagadnieniami«”.

A wracając teraz do tamtej rozmowy, przypominał mi się jeszcze Czesław Miłosz, który mniej więcej w tym samym czasie choć chyba w innym miejscu opowiadał mi, że ze 20 lat wcześniej napisał humorystyczny felieton, „nigdy niedrukowany, to był dowcip dla przyjaciół. W każdym razie napisałem tam, że nadejdzie dzień, kiedy Giedroyc przyjedzie do Wilna. Wystąpi tam w wielkiej sali i naj-

w ich klasycznym pięknie. Niektóre jej partie, np. w „Górze Tabor”, stanowiącej część najbardziej znaczącego w twórczości Helaka tryptyku, wraz z „Nad Zbruczem” i „W stronę Seretu”, np. opis zamachu majowego w Warszawie roku 1926 – jak pisał prof. Maciej Urbanowski – „zapierają dech w piersiach”. Zwraca też uwagę silne eksponowanie przez autora religijności jego bohaterów. Tak było już od pierwszych jego książek (a jako pisarz zadebiutował późno, bo w wieku 64 lat, wcześniej kręcił filmy).

– Moja rodzina pochodzi z Kresów – opowiadał – gdzie żyli ludzie niezwykle religijni. Tę religijność przekazali mi rodzice w sposób jak najbardziej naturalny. A jeśli chodzi zaś o Polaków wywiezionych na Syberię, to niemal w każdym ich wspomnieniu pojawia się stwierdzenie, że

Kościół do rzeczywistości społecznej”. Był autorem wielu, często świetnych opowiadań, a dla mnie pozostaje twórcą najważniejszego z dzienników („Dziennik pisany nocą”), tak chętnie prowadzonych przez wielu naszych ważnych pisarzy poprzedniego stulecia.

Gdy w 1991 r. pierwszy raz po wojnie przyjechał do Polski, na spotkaniu z nim



FOT. GRZEGORZ ROGIŃSKI/PAP

■ w warszawskim Domu Literatury nie było gdzie wetknąć szpilki. Pracowałem wtedy w „Rzeczpospolitej”, do której dodatku – „Plusa Minusa” – przeniósł swój dziennik drukowany przez lata w „Kulturze”. Bardzo byliśmy z tego dumni, za którymś pobytom pisarz gościł zresztą w naszej redakcji. Odpowiadał na wiele pytań, spokojnie, ważąc słowa, większe emocje wykazując jedynie, gdy dyskusja dotyczyła komunizmu. W końcu w „Dzienniku pisanym nocą” porównał kiedyś swoją sytuację do stanu, w jakim po powrocie z bieguna północnego znajdował się adm. Cagni z jego „Księcia Niezłomnego”. Nie chciał opowiadać o tym, co tam przeżył, miał dość, przez rok bowiem patrzył na lód i walczył z nim. Podobnie Herling-Grudziński dosyć miał mówienia i pisanie o komunizmie, a przynajmniej tak deklarował. Był to jednak temat jego życia i pisarz doskonale o tym wiedział, chociaż rozwodzić się nad tym, co jasne i proste, nie miał zamiaru. Gdy Jarosław Gowin poprosił go dla „Znaku” o refleksję nad tym, co komunizm wniósł do wiedzy o człowieku (serio!), odrzekł: „Komunizm jest owocem i wyrazem społecznej politycznej i duchowej dżumy”.

Do szafu doprowadził go Aleksander Kwaśniewski, rżnąc głupa, że „PRL to było całe społeczeństwo polskie”, o sobie powiadając: „Nigdy nie byłem aktywistą partii ani członkiem aparatu”. No, tego to nawet „Tygodnik Powszechny” nie zdzierżył, przypominając, że zdanie to wyszło z ust byłego ministra w gabinetach Rakowskiego i Messnera.

W sumie traktował Herling-Grudziński komunistów niczym mafiosów. Na marginesie lektury „Onych” Teresy Torańskiej zauważył, że niektórzy z ich bohaterów odgrywali rolę „penito”, skazanych w zamian za zeznania na ulgowe wyroki. A kim był np. Józef Światło? Bandytą.

Po prostu.

TADEUSZ KONWICKI Tak jakoś tuż po epokowej transformacji zawitałem do lokalu przy ulicy Górskiego, przerobionego dziś przez Instytut Książki na żywe (bo służące tłumaczom) muzeum, a wtedy zamieszkiwanego przez Tadeusza Konwickiego. Rozmawiać mieliśmy głównie o jego stanowczo niedocenionej książce „Rzeka podziemna, podziemne ptaki”, w której znalazła się następująca, zadziwiająca



FOT. WITOLD ROZMYŚLONOWICZ/PAP

trafna przepowiednia: „Zachód odrzuci ich z powrotem jak piłkę Wschodowi. Odrzuci jak ciężki, rozpalony przekleństwem kamień, który parzy ręce”. Gdy poprosiłem pisarza o rozwinięcie tego zdania, odparł, że wprawdzie mógłby prorokować dalej, „ale już tylko za wielkie pieniądze, jak prawdziwy astrolog zachodni”.

Oczywiście w toku całej rozmowy Konwicki prezentował próbki swych życiowych ról, a to fałszywego poczcwiwa z Wilna, to znów dżentelmena z oszmiańskiego powiatu, chytrego Litwina i kogo tylko byśmy sobie jeszcze wieszowali. Jednak niektóre z jego licznych dygresji warto są zapamiętania, te zwłaszcza, do których wydawał się szczególnie przywiązany. „Czy zauważył pan – zapytał na przykład – szalony kult byle osobowości? Prezenter telewizyjny jest idolem, człowiek, który zmienia płyty w dyskotece – bożyszczem. Może się to brać z tego, że podświadomie bardzo nas męczy nasza wielka ilość na tym globie. Odczuwamy lęk, że przejdziemy, przepadniemy w nicości i nie zostanie po nas najmniejszy ślad. Wytwarza się więc chęć zapisania siebie w jakikolwiek sposób, czego dowodzi np. Księga Guinnessa”.

A w wywiadzie rzece „Pamiętam, że było gorąco” zaakcentował Tadeusz Konwicki (zm. 2015 r.), że pogardza filmami pokazującymi kobietę z pozycji bidetu. „Kiedyś przeczytałem w gazecie – opowiadał – śmiałe oświadczenie pewnej pani, że lubi seks. To nie dodaje nam oryginalności. Psy, na przykład, bardzo lubią seks, nieustannie są zainteresowane seksem w sensie biologicznym”. Nie żartuję, to z całą pewnością jedna z najważniejszych diagnoz współczesności.

ANTONI LIBERA Autor uchodzącej za kultową powieści „Madame” i niewielu, ale jakże świetnych nowel („Niech się panu darzy”), wybitny znawca twórczości Samuela Becketta i reżyser jego sztuk,

ale przede wszystkim tłumacz. Tłumacz literatury wielkiej, a wypadałoby raczej powiedzieć – dzieł z wielkich największych. Bo to i Sofokles, i Shakespeare, Racine i Wilde, Holderlin i Kawafis. Że o wszystkich dziełach autora „Czekając na Godota” tylko napomknę.

Zadeklarował niegdyś marzenie, „by chociaż raz w życiu stworzyć coś naprawdę wartościowego – coś, co by się bezwzględnie akceptowało i o czym byłoby się przekonano, że spełnia ideał piękna; takie coś, o czym Hölderlin pisze w wierszu »Do Parek«. Jest to stary, archaiczny koncept przejęty z czasem przez literaturę niemiecką i mocno



FOT. ALBERT ZAWADA/PAP

w niej zadomowiony: aby samemu sobie zaimponować, samego siebie olśnić – oczarować i upoić własnym wytworem”.

I olśniewa, takimi przekładami jak ostatnio wydawane przez PIW rzymskie i greckie dramaty Shakespeare’a (w kolejce czekają mające sfinalizować edycję „Perykles” i „Cymbelin”). Jednak, widać, to wszystko mało, ponieważ na swoją premierę czeka już, ni mniej, ni więcej, tylko „Odyseja” Homera. A co!

Swoją twórczością dowodzi pan Antoni, że jeśli czymś się zajmować serio, to tylko arcydziełami. Na resztę szkoda czasu.



FOT. MACIEJ BELINA BRZOZOWSKI/PAP

CZESŁAW MIŁOSZ Kilkakrotnie mogłem dłużej porozmawiać z naszym noblistą. Niby o literaturze, ale zawsze jakoś rozmowa zataczała szersze kręgi, dotykając kwestii z piśmiennictwem ma-

jących związki luźne albo i żadne. Kiedyś z niejaką rezygnacją powiedział raptem, że jego problem z wiarą wynika z tego, że „znajduje się bardziej w orbicie katolicyzmu polskiego niż katolicyzmu w ogóle”. Przypomniałem mu wtedy, że wcześniej – wydaje się, że szczerze – wyznał: „Gdybym pisał wiersze dewocyjne, zyskałbym miano poety drugorzędneho”. Czy ma to znaczyć – spytałem – że poezja religijna jest w dzisiejszych czasach niemożliwa?

– *Poezja religijna jest dzisiaj bardzo trudna – stwierdził. – Ostatecznie Jan Paweł II w rozmowie ze mną, o mojej poezji, powiedział: »Robi pan jeden krok naprzód i jeden krok w tył«. Rozumiał to w sensie religijnym. A ja odrzekłem: »Ojczy Świąty, czy można dzisiaj pisać inaczej poezję religijną?«.*

– *Co Papież na to?*

– *Nic nie powiedział.*

– *»Religia to opium dla ludu« – pamięta pan zapewne to klasyczne hasło bolszewickie. Jak pan rozumie to »opium«: jako narkotyk zniewalający człowieka czy jako lekarstwo przynoszące mu ulgę?*

– *Napisałem w »Piesku przydrożnym«, że dzisiaj opium dla ludu stanowi wiara w to, że nie ma nic po śmierci.*

– *I nikt nie ukaże nas za nasze grzechy?*

– *Właśnie».*

Nawiasem mówiąc, twórca „Traktatu teologicznego” (zm. 2004 r.) sugerował, że stać się może w Polsce tak, iż przy katolicyzmie pozostaną tylko najlepiej wykształceni, najbardziej świątli. Wydawało się to czystą fantastyką, zważywszy na tradycję i siłę naszego katolicyzmu ludowego, a jednak... Czy aby noblista się nie pomylił? W 1997 r., na użytek wywiadu, rzecz całą – z konieczności – nieco strywializował: „Następują zmiany, tak mi się wydaje. Muszę tutaj powiedzieć, że to dociskanie teologiczne, które mnie pasjonuje, nie interesuje ludzi w ogóle. Jakoś sobie radzą, prawda, że za cenę ogromnych kompromisów. Chodzą do kościoła, ale nie bardzo wierzą, choć się starają, uważając na przykład, że zasady chrześcijańskie są bardzo potrzebne, ale świntuszyć można, bo... takie jest życie. Ja mogę złagodzić swoje pasje teologiczne, zmiany jednak są nieuniknione, a to z powodu ogromnego nacisku współczesnej kultury masowej”.

Naturalnie, nie mogłem – korzystając z okazji – nie zahaczyć Miłosza o jego, powiedzmy tak, natręctwo antylechickie. Z niego brało się przecież obnoszenie przez poetę swojej litewskości. Gdyby

autor „Doliny Issy” nie komplikował nadmiernie swego pochodzenia, powinien za Józefem Mackiewiczem (którego bardzo wysoko cenił!) powtórzyć: „Jestem obywatelem Wielkiego Księstwa Litewskiego”. A może i tak jak rzecz ujmował Zbigniew Herbert – „królestwa bez kresów i miasta popiołów”. Ale że był – zgodnie z deklarowaną litewskością – uparty, powtórzył mi właściwie to samo, co napisał w sławnym „Roku myśliwego”, że „niewątpliwie powoływanie się na genealogię litewską było dla mnie jeszcze jednym sposobem odcięcia się od moich rzeczywistych czy urojonych prześladowców, Lechitów”.

To akurat jasne, że były to urojenia, ale co się Czesław Miłosz nawytrząsał z Lechitów, to jego. Nawet Norwid był dla niego zanadto lechicki. A największy kłopot z tych okropnych Lechitów sprawił mu nie kto inny, jak Jan Paweł II: „Na pierwszy rzut oka – tak ujęła sprawę Teresa Walas – wywodzący się z katolicyzmu Lechitów. Bez piętna skazy. Głoszący prawdy proste. A zarazem pociągający ku sobie i budzący feudalny respekt. Postać Jana Pawła II rozbudowuje dialektykę Miłosza jako zaprzeczenie zaprzeczenia”. Uff, ale niezależnie od tego – ośmieliłem się przypomnieć wojującemu z lechickością poecie – wcześniej już, bo w „Ziemii Ulro”, jeszcze w latach 70. skonstratował, że to „w końcu w katolicyzmie zawiera się obietnica polskiej kulturalnej oryginalności”.

Rozmówca mój tylko pokiwał głową.



FOT. RADEK PIETRUSKA/PAP

WIESŁAW MYŚLIWSKI Ilekroć nachodzą mnie ponure myśli (a zdarza się to często) wynikające z depresyjnego poziomu powstającej literatury, pocieszam się słowami autora „Widnokregu”, którego zdaniem w ogóle nie należy się przejmować kasandrycznymi przepowiedniami wieszczącymi np. ostateczny upadek tyle razy już szykowanej do pochówku powieści. A dlaczego? „Powieść wyrasta z potrzeby opowiedzenia siebie drugiemu

człowiekowi. Ta potrzeba jest naszą naturą. Po to człowiek wynalazł język. Każdy chce opowiedzieć siebie w takiej lub innej formie. My przecież chętniej opowiadamy, niż słuchamy. Proszę zauważyć, jak się ludzie zachowują na przykład w towarzystwie. Niby słuchamy, co ktoś tam mówi, a po prostu czatujemy na sposobność, żeby samemu mówić. Powieść jest najdobitniejszym świadectwem tego, że człowiek jest istotą zbiorową”.

Przypisano niegdyś Wiesława Myśliwskiego do lansowanego ponad miarę wiejskiego nurtu literatury polskiej. Rozsadzał ramy tego nurtu, nie mieścił się w nim, choć nigdy nie wyparł się kultury chłopskiej, utożsamiał się z nią. Jednak uporczywie podkreślał, że kulturę ludową stworzyła nasza inteligentka wyobraźnia: „Nasze spojrzenie na kulturę chłopską, jak na barwny folklor. Chłop nie wiedział, jaki jest jego folklor, wiedział, jaki jest jego los”.

Ten dwukrotny laureat Nagrody Nike – z czasów, gdy naprawdę coś jeszcze znaczyła i w kulturze, i poza nią – stworzył jeden z ważniejszych rozdziałów literatury polskiej po 1945 r. Literatury, która będąc głęboko osadzoną w historii, potrafiła pozostawać niezależną od polityki, a przynajmniej bardzo się o to starała. To zdumiewające, ale w 400-stronicowym „Traktacie o łuskaniu fasoli” jedynym politycznym wydarzeniem, które wywiera znaczący wpływ na życie bohatera jest wymiana pieniędzy w 1950 r. Żadne polskie Październiki, Marce, Czerwce czy Grudnie, tylko tamten rabunek dokonany w majestacie prawa, jakimkolwiek ono było. Rabunek, który uniemożliwił bohaterowi „Traktatu...” kupno wymarzonego instrumentu muzycznego, konkretnie, saksofonu. Może to była najboleśniejsza strata w jego życiu?

A w jednej z jego późniejszych powieści, „Uchu igielnym”, zakochany chłopak słyszy od dziewczyny: „Mówią, że gdy kocha się kogoś, kocha się cały świat. Ale ja bym nie mogła pokochać świata”. A pisarz puentuje to zdanie refleksją: „Wiem, że [...] nie musimy świata kochać, wystarczy, że tak trudno nam się z nim rozstawać”.

Trafiony, zatopiony.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pierwsza część „Alfabetu Krzysztofa Masłonia” ukazała się w „Do Rzeczy” w numerze 52/2015, a druga w numerze 1/2016.